

NATHALIE K. FLOWER



**Komedia romantyczna,
w której Mozart
zacznie grać rocka.**

NATHALIE K. FLOWER



Mojej mamie



– Koniec. – Leżałam na łóżku z rozłożonymi na boki rękami i wpatrywałam się w sufit. Przychodzi w życiu taki moment, w którym zdajesz sobie sprawę, że już za późno. Na wszystko. Na nowy związek, na ciekawe życie, na dzieci...

Dzieci. Zaśmiałam się w duchu. W moim wieku niektóre kobiety już zostają babciami. Z perspektywy czasu stwierdzam, że lepiej byłoby być babcią niż samotną starą panną w mieszkaniu na kredyt, z psychiką podziurawioną niczym stary worek na ziemniaki.

– Nie koniec – odezwała się Klaudia w pozycji odwzorowującej moją. – Źle na to patrzysz. To początek. Na pewno lepszy niż ostatnie czternaście lat twojego życia. Powiem ci, że masz zdrowie. Wytrzymać z tym pedantycznym bezmózgiem tyle lat...

– Nie mów tak. W ten sposób obrażasz też mnie.

– Nie. Z tobą wszystko jest porządku. Po prostu przyćmiło cię na chwilę.

– Na chwilę.

– To było takie czternastoletnie zaćmienie mózgu. Marci-
na już nie ma i jak widać, wszystko wraca do normy.

– Powiedział, że mam mu zwrócić czterdzieści koła, które włożył w remont tego mieszkania.

– Co za cham. Trzeba było powiedzieć, że zrobisz to zaraz po tym, jak on zwróci tobie za rozwalone auto i opłacone za niego wakacje.

– Oddam mu tę kasę, a potem nie chcę mieć z nim nic wspólnego. I tak dobrze, że w czasie tego czternastoletniego zaćmienia do mojego mózgu dotarło trochę słońca i kredyt wzięłam sama.

– Opatrzność nad tobą czuwała. Muszę się zbierać – powiedziała moja przyjaciółka, podnosząc się z łóżka. – Darek pewnie wpada w panikę, bo Stasiu zaraz się obudzi, a on nie da rady go uspokoić.

Wstałam razem z nią i poczłapałyśmy do przedpokoju.

– Trzymaj się. – Uścisnęła mnie. – I pamiętaj: nie wszyscy faceci to frajerzy.

– Ale wszyscy niefrajerzy to geje i zajęci.

– Skoro ty jesteś wolna i nie jesteś frajerką, to może jakiś niefrajer właśnie rozstał się z jakąś frajerką i też jest wolny.

Cudem mnie nie popłuła przy tej wypowiedzi, tak się śmiała.

– A ja jakimś cudem jutro wpadnę na niego w Lidlu. Gratuluję optymizmu.

– Zobaczysz. Jeszcze trafi w ciebie strzała Amora.

– Paaa. – Pocałowałam przyjaciółkę w policzki i zamknęłam drzwi, gdy wyszła.

Czy było mi żal? Jedyńie straconych lat. Mam trzydziestkę piątkę na karku. Większość dorosłego życia spędziłam z człowiekiem, który był moim pierwszym i jedynym facetem. Przyzwyczailiśmy się do siebie, ja tolerowałam jego pedantyczne dbanie o wygląd, tłumacząc sobie, że w wieku czterdziestu lat przynajmniej nie stanie się januszem z wyhodowanym

brzuchem i passatem w garażu. Teraz na tych januszów patrzyłam trochę z zazdrością. Mieli żony, dzieci... Tego mi szkoda najbardziej. Najwyższa pora pogodzić się z tym, że ja nie będę ich miała.

Idę spać. Jutro dzień pierwszy zaakceptowanego już przeze mnie staropanieństwa.

– Halo? – powiedziałam do telefonu. Ledwo zdążyłam odebrać, bo biegnąc do niego, tak przywaliłam nogą w szafkę, że mały palec niemal spotkał się z zewnętrzną częścią stopy. O kuźwa, ale boli! – Tak, Róża Dzika przy telefonie – przedstawiłam się i jak zawsze wypowiadając swoje imię i nazwisko, przypomniałam sobie o rodzicach. Mają specyficzne poczucie humoru. Jak można dać dziecku na imię Róża, gdy ma się takie nazwisko?

– Witam serdecznie. Nina de Bruyne Woycikiewicz z tej strony.

Ooo, robi się ciekawie. Nie tylko moje dane brzmią przyjaźnie. Różnica między mną a tą kobietą jest taka, że jej imię i nazwisko wskazują na szlacheckie pochodzenie, a mnie na starcie traktują jak niezrównoważoną psychicznie.

Jestem ciekawa tej rozmowy. A nuż to jakaś daleka krewna, która poinformuje mnie o spadku po cici ze Stanów i skończą się chociaż moje finansowe problemy.

– Dzwonię do pani z polecenia Marioli Strzemińskiej, właścicielki dworku weselnego „Pod Jemiołą”. Jestem zainteresowana usługą dekoracji ślubnej.

Mariola od lat nagrywa mi klientów na dekoracje sal weselnych. Jej dworek stroję najczęściej. W ramach podziękowań

robię jej bukiety na sylwestra lub imprezy karnawałowe. Obydwóm nam pasuje taka współpraca.

– Witam serdecznie. – Przybrałam miły ton. Każde zlecenie jest teraz na wagę złota. Im szybciej spłacę byłego, tym szybciej wrócę do równowagi psychicznej. – Czy mogę poznać datę ślubu, żeby sprawdzić, czy mam wolny termin? – Wzięłam kalendarz tylko po to, żeby pani Brownie de coś tam słyszała, jak przewracam kartki. W końcu i tak przyjmę jej zlecenie, choćby było piątym w danym dniu. Kasa, kasa, kasa.

– Pierwszy września.

– Którego roku? – zapytałam i przerzuciłam strony na koniec notesu, gdzie znajdowały się miniaturki kalendarzy z kolejnymi latami.

– Tego – odpowiedziała pani Nina spokojnie.

A to ci optymistka. Mając na uwadze fakt, że był trzeci sierpnia, rzekłabym nawet, że niepoprawna.

– To raczej będzie ciężko – powiedziałam, ale dla świętego spokoju przewertowałam z powrotem notes. Patrzyłam i nie wierzyłam oczom. Nie brałam żadnych zleceń na ten dzień, bo miałam iść na wesele brata mojego pozał się Boże Marcina. Planowane od dwóch lat. O jak mi przykro, nie przyjdę. – A, przepraszam. Ten termin jako jedyny w sezonie mam jednak dostępny. Akurat niedawno się zwolnił.

– Świetnie. Kiedy możemy się spotkać?

– Mamy niewiele czasu. Jutro będę w Kielcach. Czy pasowałoby pani spotkać się na sali i ustalić szczegóły? Od razu przygotowałabym kosztorys. Zadzwoiłabym też do właścicielki i poinformowała ją o naszej wizycie.

– Tak, może być jutro. To proszę o informację co do godziny spotkania. Porozmawiam dzisiaj z narzeczonym. Chciałabym, żebyśmy byli oboje.

– Rozumiem.

– W takim razie czekam na kontakt. Do usłyszenia.

Od razu zrobiło mi się jakoś lepiej. Liczyłam, że pani de Brownie się nie wycofa, a brak czasu działał tylko na moją korzyść. Planowałam jutro małe zakupy w Kielcach, żeby poprawić sobie humor. „Małe” to słowo klucz. Jakieś szpilki z CCC na osłodzenie goryczy ostatnich dni, ewentualnie sukienka z przeceny, wszak był czas największych wyprzedaży. Teraz jednak zaczynałam patrzeć na życie bardziej optymistycznie. Do tej pory nie brałam pod uwagę dodatkowego zastrzyku gotówki. Chyba wydam jutro trochę więcej pieniędzy.

Mój humor był już o niebo lepszy. Wczoraj podałam klientce informację o godzinie spotkania i właśnie mknęłam sobie przez wioski swoją octavią w stronę Kielc i wesoło rozprawiałam z Klaudią przez telefon. Wszystko będzie dobrze. Naprawdę zaczynałam w to wierzyć.

I nagle wszystko naraz się wysypało... Czy nie może być dobrze chociaż przez chwilę?! Cały mój nastrój w jednej sekundzie trafił szlag za sprawą czerwono-białego lizaka. To się schowały mendi!

– Kurwa, Klaudia, dawaj szybko jakąś wymówkę dla policjantów, bo mnie złapali. – Trzymałam dalej komórkę przy uchu, zapominając o tym, że za to też się dostaje mandat. – Cholera, ile ja jechałam? – próbowałam skojarzyć. Byłam w terenie zabudowanym. Pięćdziesiąt na godzinę to ja miałam dopiero teraz, w czasie hamowania.

– Pamiętaj: są dobry i zły policjant. Musisz udobruchać tego złego. Powodzenia.

Rozłączyła się, zostawiając mnie z tym fantem.

Szybko przeanalizowałam sytuację. Może będzie widać na pierwszy rzut oka, który jest ponurym biurokratą bez krzty poczucia humoru.

Jeden z funkcjonariuszy wyglądał jak mała, uroczą kuleczka. Miał wąsik w stylu mojego taty i może metr siedemdziesiąt, wliczając w to policyjną czapeczkę. Nie no, nie ma bata – to ten dobry. Już go lubiłam. Przyjrzyjmy się zatem panu złemu. Na razie nie widziałam go zbyt dokładnie, bo dopiero wysiadał ze swojej policyjnej limuzyny. Obszedł ją i ukazał mi się w całej okazałości. O tak, to zdecydowanie był pan zły. Wrrr, niech mnie kule biją – jest bardzo zły. Szczególnie w łóżku, bo tam go teraz widziałam. Wysoki brunet, krótko przystrzyżony, bez cienia zarostu czy wypindrzonej bródki jak u Marcina. Boże, mundury zostały stworzone właśnie na takie ciała. Niech mi ten pan wystawia mandat, jaki chce, byle pisał go dłuuuugo. Niech braknie mu kwitów, niech w alkomacie wyczerpią się baterie, a my będziemy musieli czekać, aż przywiozą nowy zestaw. W swoim towarzystwie oczywiście.

Poprawiłam się na siedzeniu, próbując się doprowadzić do porządku. Dopiero co uznałam samą siebie za starą pannę. Odnosiłam jednak efekt odwrotny do zamierzonego, gdy potarłam udem o udo. Mmmm. Wzięłam kawę, upiłam subtelnie łyk i przykleiłam do twarzy czarujący uśmiech, napawając się tym podchodzącym do mnie cudem.

Staął przed moimi drzwiami i... nic. Patrzył na mnie, a ja na niego. O Boże, już nie może być romantycznej. Chyba się zakochałam. Może wcale nie jestem skazana na życie w samotności? Pan co prawda był bardzo poważny. Szczerzyłam się do niego jak bezmózga meduza, ale nie mogłam ściągnąć z ust uśmiechu. Nabrałam powietrza w płuca, gdy policjant

pochylił się nieco. Chyba też chciał mi się przyjrzeć. Uniósł delikatnie rękę. Ależ miał wspaniałe dłonie: męskie, prawdziwe, a nie wyslizgane w jakichś kremach. Uniósł tę swoją rękę i... zastukał w szybę. No tak, pasowałoby ją otworzyć. Ja myślałam, że pan piękny właśnie się we mnie zakochuje, a on czekał, aż odsunę szybę. Co za przypał. Musiałam natychmiast odzyskać rezon. Założę się, że tłumaczeń od mentalnych blondynek, dlaczego tak szybko jechały, mają przynajmniej kilka dziennie. Nie zamierzałam się bawić w puste uwodzenie. To było jedynie chwilowe niedotlenienie. Wracała mi zdolność logicznego myślenia.

Zsunęłam szybę, ściągnęłam z ust głupkowaty uśmiech i powiedziałam:

– Dzień dobry.

Pan piękny wyprostował się tak, że musiałam schylić głowę, by widzieć jego twarz w całości. Nie, nie mogłam podziwiać teraz jego wzrostu. Musiałam się skupić na tym, żeby za godzinę móc wydać jak najwięcej pieniędzy. Im więcej utarguję, tym więcej zostanie mi w portfelu. A może przy okazji zaprosi mnie na randkę? Tak, jasne. A potem weźmiecie ślub i będziecie żyli długo i szczęśliwie. Róża, wróć na ziemię, bo zakupy skończysz na chusteczkach higienicznych do ocierania łez.

– Dzień dobry. Amadeusz Mocarz, starszy aspirant Wydziału Ruchu Drogowego Komendy Miejskiej Policji w Kielcach...

Na szczęście miałam kawę zatkaną wieczkiem, bo parsknęłam śmiechem na tego „Mocarza”, zupełnie olewając to, co powiedział później. Dostałam niekontrolowanego ataku rehotu. Jak podczas pierwszej komunii, gdy miałam przeczytać ewangelię i tak się śmiałam, że zaraziłam tym cały kościół. No nie mogę. Rżałam jak koń i ścierałam z policzków łzy.

– Widzę, że rodzice mają poczucie humoru.

Spojrzał na mnie spod byka.

– Słucham?

– Mówię, że pańscy rodzice to zapewne ludzie z poczuciem humoru, panie Mozart. Przepraszam... Mocarz. – Specjalnie przekręciłam nazwisko.

Jego usta ani drgnęły. Gdyby chociaż trochę się uśmiechnął, nie wyglądałby teraz jak doktor House z tą swoją ponurą miną. Po raz kolejny dzisiaj starałam się doprowadzić do porządku. Przypomniałam sobie, że to ten zły policjant, i zorientowałam się, że nie będzie łatwo. Musiałam jednak jeszcze raz spróbować na wesoło.

– Proszę się nie przejmować. Doskonale pana rozumiem. Sama takich mam.

Amadeo Rike Fake patrzył na mnie w milczeniu. Zapewne czekał, aż rozwinę temat. Wyciągnęłam rękę przez uchyloną szybę i powiedziałam:

– Róża Dzika, miło mi. – Po raz pierwszy szczerze cieszyłam się ze swojego nazwiska. Teraz pośmiejemy się razem, no nie ma bata. Kto by wytrzymał?

– Jeszcze raz poproszę dokument ze zdjęciem – rzekł, ignorując moją rękę.

No dobra, kochana, teraz to tylko inteligencja cię uratuje. Na wesoło to możesz co najwyżej się upić, gdy już przyjmiesz mandat, który Pan Zły na bank ci dzisiaj wystawi. Sięgnęłam do torebki i wyciągnęłam prawo jazdy, bo trafiłam na nie jako pierwsze. Podałam je funkcjonariuszowi i nawet nie próbowałam zahaczyć palcami o jego. Żarty się skończyły.

– Tak jak przed chwilą powiedziałem, powodem kontroli drogowej jest przekroczenie prędkości w terenie zabudowanym o czterdzieści cztery kilometry na godzinę oraz jazda bez świateł dziennych.

Uff. Czyli nie stracę prawa jazdy. Poczułam niesamowitą ulgę, bo wiedziałam, że było blisko.

– Ponadto – kontynuował Mocarz – w czasie jazdy rozmawiała pani przez telefon i ma niezapięte pasy. Podsumowując: zyskała pani w ciągu tej kontroli dwadzieścia dwa punkty karne i tysiąc... – Przerwał na chwilę, zliczając w pamięci moje wykroczenia według taryfikatora. – ...siedemset złotych mandatu. Czy ma pani na koncie jakieś punkty karne?

O kurwa, słabo mi.

– Mam – powiedziałam ledwo słyszalnie.

– Ile?

– Chyba mam. Nie pamiętam, ile czasu minęło od ostatniego mandatu.

– Proszę w takim razie chwilę poczekać. Sprawdzę, czy nie będzie konieczne zatrzymanie prawa jazdy.

On tak na poważnie? No to dostałam swojego służbistę... Co z tego, że piękny, skoro nie ma w sobie krzty współczucia. Moje prawo jazdy, z którym właśnie się oddalał Janko Muzykant, pewnie za chwilę stanie się nic nieznaczącym kawałkiem plastiku. Siedziałam w aucie i próbowałam zebrać myśli. Przypomniałam sobie, jak wracaliśmy z Marcinem z imprezy. Ja prowadziłam. Dostałam mandat za przekroczenie prędkości i niezapięte pasy. Na pewno więcej niż dwa punkty.

Wachlowałam się kalendarzem, żeby nie zemdleć, i czekałam na werdykt jak na ścięcie. Co ja zrobię bez prawa jazdy? Będę w czarnej dupie. Jestem dekoratorką ślubną, stacjonarnie raczej nie wykonam swojej roboty, a kwiatów do paczkomatu sobie nie zamówię. No szlag by to trafił. Przygotowywałam się psychicznie na płaczliwy pokaz w stylu „miej pan serce, bez prawa jazdy nie zarobię, a muszę spłacić jednego gnioła”.

Pan Zły podszedł swym dystyngowanym krokiem. Czulałam, jak drżą mi uda od chęci kopnięcia go w kostkę. Wiedziałam jednak, że najgorsze, co mogę teraz zrobić, to na niego nawrzeszczyć. Takie coś działa na policjantów jak płachta na byka.

– Ma pani niesamowite szczęście. Pani punkty wykasowały się cztery dni temu.

Hmm, widzę, że nie do końca rozumie znaczenie słowa „szczęście”. Szczęście to ja bym miała, gdyby mu na przykład nawalił radar w trakcie kontroli. Dwadzieścia dwa punkty karne i tysiąc siedemset złotych. Może powinnam z tej radości odstawić taniec dziękczynny?

Ostatnia szara komórka, która miała dzisiaj dyżur w moim mózgu, wpadła na pewien plan. Co prawda to nie te czasy, ale kto wie.

– Może się jakoś dogadamy?

Niestety ta jedna szara komórka nie ogarnęła tonu głosu. Gdyby powiedział to facet, wiadomo by było, że chce dać łapówkę. Gdyby powiedziała to kobieta, byłoby podobnie – pod warunkiem jednak, że nie użyłaby głosu Britney Spears z piosenki *Baby one more time*. Zabrzmiałam, jakbym proponowała mu uciechę w pobliskich krzakach. Zaraz się spałę ze wstydu.

– Czy pani mi właśnie proponuje łapówkę? – zapytał Mocarz tonem sugerującym bezsilność, że musi się uzerać z takimi jak ja.

– Oj tam, od razu łapówkę – próbowałam wybrnąć z sytuacji, bo wiedziałam już, że nie przyjmie ode mnie kasy. – Przyznaję się do wszystkich zarzucanych mi czynów, żałuję za grzechy i obiecuję poprawę. Wiemy jednak, że wystarczy jedno nawet nieszkodliwe wykroczenie, a mogę stracić prawo jazdy, którego potrzebuję do pracy. Dlatego chciałabym prosić

o łaskawszy wyrok. Nie aż tyle punktów, nie aż tyle pieniędzy. Może jakieś pouczenie?

Patrzył na mnie przez chwilę tymi swoimi pięknymi brązowymi oczami. Były naprawdę ładne. Już dość miałam w życiu piękniusich facetów. Wygląd w tym momencie stanowił dla mnie ostatnią rzecz, która się liczyła przy opcji brania kogoś pod uwagę, ale ten facet miał tak głębokie spojrzenie, że gdy w nie patrzyłam, nabierałam powietrza i zapominałam o jego wypuszczaniu. Był poważny, konkretny, wpatrzony we mnie nie w erotycznym tego słowa znaczeniu. Odnosiłam wrażenie, jakby chciał czytać w moich myślach. Poczułam ciarki na ciele. I właśnie wtedy drgnęły mu kąciuki ust. Może nie wszystko jeszcze stracone?

– Jako pokutę proszę w takim razie odmówić sobie jazdy powyżej dozwolonej prędkości przez najbliższe dwa lata i sukienki z najnowszej kolekcji. Jeśli jest pani wierząca, może pani dorzucić *Ojciec nasz* i pięć zdrowasiek. A, i jeszcze modlitwę dziękczynną za postawienie na swojej drodze kogoś, kto być może uratował pani życie.

No cóż, okazuje się, że Pan Zły jednak ma jakieś poczucie humoru. Szkoda, że gustuje w tym czarnym. Nie no, nie odpuszczę. Nie odjadę stąd, śpiewając pożegnalną pieśń dla takiej ilości pieniędzy.

– Proszę pana. – Uruchomiłam tryb baby z jajami. – Domyślałam się, że takich proszących o obniżenie mandatu macie na pęczki. Gdybym dostała dziesięć punktów, nawet bym nie dyskutowała. Chodzi o to, że niebezpiecznie zbliżyłam się do granicy utraty prawa jazdy. Nie proszę o anulowanie całego mandatu, tylko jedynie o przymknięcie oka na część moich wykroczeń. Zwyczajnie proszę pana o postawienie się w mojej sytuacji.

Chyba zabrzmiało dobrze, bo policjant nie mówił nic, tylko zastanawiał się przez chwilę.

– W porządku, żeby nie było, że jestem taki bezduszny. Domyślałam się, że świateł nie włączyła pani przez przypadek. Na to mogę przymknąć oko. Tak że zostaje nam dwadzieścia punktów karnych i tysiąc sześćset złotych. Ma pani prawo do odmówienia przyjęcia mandatu. W takiej sytuacji zostanie skierowany wniosek do sądu. Jaka jest pani decyzja?

Znalazł się litościwy pan. Odpuścił mi stówę. Ale karma wraca. Jestem pewna, że los mu odpłaci za tę bezwzględność. Plułam jadem w myślach. Wiedziałam, że to ja popełniłam wykroczenie, ale chciałam być zła też na niego, nie tylko na siebie. Zdawałam sobie sprawę, że jestem na przegranej pozycji. Dlaczego nie podszedł do mnie ten drugi funkcjonariusz? Może z nim ugrałabym więcej.

– Przyjmuję mandat – powiedziałam zrezygnowana.

– Rozumiem. Proszę w takim razie o chwilę cierpliwości.

Odrzucił się i poszedł w kierunku wozu policyjnego. Oparłam głowę o zagłówek. A to miał być taki fajny dzień...

W centrum handlowym kupiłam tylko pyszną kawę na otarcie łez. Zrezygnowałam z butów i sukienki z ZARY. Zajęłam się kalkulacją zaplanowanych przychodów i określeniem czasu, w jaki uda mi się spłacić Marcina. Miałam jedynie nadzieję, że dzisiejsze zlecenie okaże się kompleksowe albo że chociaż odrobnię ten nieszczęsny mandat.

Do dworku dotarłam piętnaście minut przed czasem. Poszłam pogadać z Mariolą, bo klientki jeszcze nie było.

– Hejka – przywitała mnie, całując w policzek. – Co słychać?

– Daj spokój. Prawie straciłam dzisiaj prawo jazdy.

Streściłam jej wydarzenia i czekałam na współczucie.

– Może miał rację. Wiem, jak jeździsz. Nigdy nie zapinasz pasów. Może to ci da do myślenia. Lepiej uczyć się w ten sposób, niż leczyć złamania po wypadku.

Wiedziałam, że to wszystko prawda. Z reguły byłam roztrzępana i nie żałowałam sobie przy wciskaniu pedału gazu. Teraz przynajmniej oszczędzę na paliwie.

– Przyjechała klientka. – Wskazała w stronę parkingu.

– Lecę w takim razie.

– Ja zaraz wychodzę, tak że do zobaczenia. W sobotę jesteś u mnie?

– Tak. Zadzwoń i potwierdź godzinę.

– Okej. Pa.

Ruszyłam w stronę pani Niny, wyłapując po drodze szczegóły. Przyjechała chryslerem voyagerem – dużym vanem. Złożone siedzenia tworzyły ogromny bagażnik.

– Dzień dobry. Pani Nina? Róża Dzika. – Podałam jej rękę.

– Dzień dobry. – Uśmiechnęła się. – Widzę, że dopasowała pani zawód do imienia i nazwiska.

Słyszałam to za każdym razem, gdy widziałam się pierwszy raz ze swoimi klientami.

Odwzajemniłam uśmiech i nie rozwijałam tematu.

– Przyjechała pani jednak sama? – zagadnęłam.

– Narzeczony będzie niebawem. Właśnie wraca z pracy.

– Usiądźmy może w altance – zaproponowałam.

– A możemy wejść najpierw do sali? Zanim dotrze mój narzeczony, ustalimy pierwsze szczegóły.

– Jasne.

Weszłyśmy do pomieszczenia, rozmawiając o tym, co jej się podoba. Mniej więcej już wiedziałam, w którą stronę podążała

jej wizja. Miała dobry gust – nie zdecydowała się na białe kwiaty, jak dziewięćdziesiąt procent moich klientów. Chciała dekoracji z klasą, ale bez zrobienia tutaj dziczy. Gdy pod dworek podjechało auto jej narzeczonego, skierowałyśmy się ku altance. Schodziłyśmy po schodach, a mnie замуrowało. Mało nie spadłam ze stopni, gdy moje nogi przykleiły się do jednego z nich, a ciało poleciało do przodu. W ostatniej chwili złapałam równowagę. Narzeczeni podeszli do siebie i dali sobie całusa w policzek.

– Pani Rózo, to mój narzeczoney, Amadeusz.

Nie tylko ja wyglądałam w tym momencie jak rażona piorunem. Szanownego pana policjanta po służbie, nadal w mundurze, też mocno zaskoczyła sytuacja. Gdy minął pierwszy szok, podał mi rękę.

– Witam, miło mi. – Uśmiechnął się niepewnie.

– Mnie również miło.

Oj, jakże mi, cholera jasna, było teraz miło... Po moim brzuchu rozlewało się ciepło. Wiedziałam, że karma wraca, nie pomyślałam jednak, że tak szybko. Ona na pewno złamała więcej przepisów niż ja, żeby tu dotrzeć na czas. No to się zabawimy. Miałam nadzieję, że Pan Zły nie wspomni o naszej dzisiejszej pogawędce podczas kontroli.

Zachowałam pełny profesjonalizm. Roztaczałam wizję tego, jak może wyglądać dekoracja. Sprawa nie była prosta, bo klientka miała niezły gust i spore wymagania. Od słowa do słowa wyszło, że to malarka. Przedstawiłam więc propozycje z najwyższej półki, pokazując zdjęcia podobnych realizacji, i widziałam w jej oczach podziw. Skoncentrowałam się na niej, bo to ją chciałam kupić. Musiała mi zaufać w stu procentach i nie chcieć się zdecydować na nikogo innego. Byłam dobra w tym, co robiłam. Na targach ślubnych niejednokrotnie

otrzymywałam od domów weselnych zaproszenia do przygotowania wystroju. Znałam swoją wartość. Jeśli dobrze pójdzie, będzie to naprawdę dochodowa realizacja. Grunt to obudzić w pani Ninie potrzebę, by to wszystko mieć.

Rozprawialiśmy o dekoracji sali, pleneru, altanek, wejścia, kościoła i auta oraz bukietach, czyli szykowało się kompleksowe zlecenie. Dowiedziałam się, że klientka rozmawiała już z innymi dekoratorami, ale ich pomysły nie przypadły jej do gustu.

Nadszedł czas na wycenę. Działalam w tej branży od dziecięciu lat, więc byłam w stanie policzyć koszty w kilka minut. Poprosiłam o chwilę cierpliwości. Narzeczeni udali się na krótki spacer, a ja przygotowałam kosztorys. Miałam nadzieję, że Mocarz nie wspomni narzeczonej o naszym wcześniejszym spotkaniu.

Pozwoliłam sobie na iście ułańską fantazję. Zaproponowałam droższe kwiaty, tak że po podliczeniu całości wyszła pięciocyfrowa suma. Ze względu na zaistniałe okoliczności uznałam, że to zlecenie o podwyższonym ryzyku. W takiej sytuacji, aby praca sprawiała mi przyjemność, muszę na niej solidnie zarobić. W takich wypadkach kwotę dekoracji mnożę razy dwa. Identycznie zrobiłam teraz. Jeśli zrezygnują, nie będzie mi szkoda, a jeśli zaakceptują warunki, jestem gotowa pocierpieć za takie pieniądze. Ach, zapomniałam o najważniejszym. Przecież nie będę płacić mandatu z własnej kieszeni, skoro mogę sobie to „wrzucić w koszty”. Dodałam do całej sumy tysiąc sześćset złotych i zadowolona z siebie dałam znać spacerującej parze, że jestem gotowa.

Zobaczywszy minę pana Amadeusza, byłam prawie pewna, że domyślał się, co zaraz usłyszysz, a gdy poprawił się na krześle, tylko utwierdziłam się w tym przekonaniu. Biedak doskonale

zdawał sobie sprawę, że zaraz oboje pospadają z tych krzeseł. Miałam wrażenie, że chce poradzić narzeczonej, żeby się mocno trzymała. Uśmiechnęłam się i z największą możliwą lekkością podałam cenę zlecenia w taki sposób, jakbyśmy rozmawiali o kwocie bez ostatniego zera. Staralam się brzmieć tak, żeby sądzili, że zlecenia takiej wielkości i w takiej cenie wykonuję przynajmniej raz w miesiącu. Nawet Mocarzowi opadła szczeka, choć widać było, że usiłował się przygotować mentalnie na te rewelacje.

Pani Nina odkasznęła nerwowo.

– Nie ukrywam, że bardzo nas pani zaskoczyła tą sumą. Dekoracja jest dla mnie ważna i w moim mniemaniu zarezerwowałam na nią naprawdę sporą kwotę, ale i tak o połowę niższą od pani propozycji.

O, szanowna pani Nino, gdyby pani narzeczony był bardziej ugodowy, rzuciłabym o połowę niższą cenę pomniejszoną dodatkowo o tysiąc sześćset złotych. To jednak zlecenie o podwyższonym stopniu ryzyka stresowego, więc kwota na pewno nie ulegnie zmianie.

– Pani Nino – rozpoczęłam rozmowę, którą przerabiałam już wiele razy z klientami – zdaję sobie sprawę, że nie należę do dekoratorek, które świadczą usługi w niskich czy nawet średnich cenach. Dekoracji, którą wykonam u państwa, nie powielę już u nikogo innego. Będzie niepowtarzalna, bo nigdy nie robię dwa razy tego samego. Oczywiście rozumiem, że kwota może być za wysoka. Jestem w stanie polecić inne firmy, które wykonają zlecenie taniej. W żadnym wypadku się nie obrażę, jeśli wybiorą państwo kogoś innego.

Brzmiałam pewnie, bo znałam swoją wartość. Nawet jeśli nie podejmą decyzji w tym momencie, będę wiedziała, czy ich do siebie przekonałam, czy nie.

– Pani Rózo, przejrzałam w Internecie chyba wszystkie zdjęcia z pani realizacjami i to właśnie z panią chciałam współpracować, ale musimy przemyśleć tę sprawę.

No i już wiedziałam, że ją złapałam. Umowę mam w kieszeni, jeszcze tylko delikatne targowanie...

– Proszę mi powiedzieć, czy jesteśmy w stanie coś zbić z tej kwoty – kontynuowała de Bruyne.

Udałam, że przeglądam kosztorys.

– Będzie trudno, jeżeli chcemy zostać przy takiej liczbie frezji.

Dobra, nie bądź aż taka bezduszna – pomyślałam. Mocarz przystał na obniżenie mandatu, więc nie będę gorsza. Zastanawiałam się, co jest warte sto złotych z mojej wyceny. A niech stracę.

– Nie rozmawialiśmy jeszcze o prezentach dla rodziców. Mogę zaproponować w tej cenie flowerboxy i wykonanie papeterii ślubnej, czyli winietki, menu i karty rozmieszczenia gości.

Spojrzenie pani Niny stało się przychylniejsze. Dodatkowe koszty nie wyniosą więcej niż czterysta złotych, więc przy całościowej kwocie to wielkie nic. Zawsze jednak pojawia się pytanie o obniżenie ceny lub jakiś gratis. Przeważnie proponowałam kwiaty dla rodziców, tym razem dołożyłam do tego papeterię, którą zrobię po kosztach w zaprzyjaźnionej drukarni, więc chyba nie byłam aż taką zołą.

A może byłam. Przynajmniej według mojego potencjalnego klienta. Mocarz patrzył na mnie z żądzą mordy w oczach, a ja dokładnie wiedziałam dlaczego. Owinęłam sobie jego narzeczoną wokół palca. Był boleśnie świadomy tego, kto będzie mu robił dekorację. Dostałeś za swoje, Panie Zły. Ja też nie miałam ochoty na dzisiejszą kontrolę.

– Chyba wszystko dokładnie wyjaśniłam – podjęłam. – Zapewne chcą państwo się zastanowić. Może umówmy się,

że poinformują mnie państwo o swojej decyzji w ciągu trzech dni. Do tego czasu uznaję termin jako wstępnie zarezerwowany.

– Tak, trzy dni nam wystarczą – powiedział szybko Amadeusz. Byłam pewna, że zrobi wszystko, żeby odwieść narzeczoną od chęci współpracy ze mną. Miał poważny argument: tę samą dekorację można wykonać za połowę ceny. Ja miałam jednak asa w rękawie: czas. Znalezienie kogoś dobrego na za miesiąc graniczyło z cudem.

– My też się zbieramy, mam jeszcze fryzurę próbną – odezwała się pani Nina i wstała równo ze mną.

– Pozostajemy w kontakcie.

Pożegnałam się z nimi i skierowałam do swojego samochodu. Obserwowałam ich jeszcze z fotela. Porozmawiali chwilę i pożegnali się całusem w policzek. Poza tym żadnego kontaktu fizycznego, czułości. Byli w stosunku do siebie mili i uprzejmi, ale w neutralny sposób. Wyglądali bardziej jak rodzeństwo niż para zakochanych. Od dekady współpracowałam z przyszlými małżonkami i obserwowałam ich zachowanie. Przeważnie byli to ludzie, którzy mieli kilka wspólnych lat za sobą i stabilną sytuację finansową. Może nie wdzięczyli się do siebie niczym zadurzeni nastolatki, ale czułam chemię między nimi: spojrzenia, które odczytają tylko oni sami, łapanie się za ręce, obejmowanie w talii. A tutaj nic. Kompletnie. Jedynie całus jak na wizycie u wujka Bogdana. Nawet wujek był bardziej wylewny, bo zawsze ucałował obydwie moje policzki i mocno mnie przytulił.

Skierowali się każde do swojego auta. Mocarz musiał minąć moje, dlatego udałam, że coś robię na telefonie, po czym schowałam go do torebki i odpaliłam silnik. Nie podniosłam głowy, bo Amadeusz, zamiast iść dalej, przystanął. Czułam, że na mnie patrzy, a ja robiłam wszystko, by na niego nie spojrzeć.

W końcu mnie do tego zmusił, stukając palcami w boczną szybę – już drugi raz dzisiaj.

„Czego?!” – miałam ochotę krzyknąć. Zamiast tego jednak podniosłam wzrok i spojrzałam na niego wyczekująco. Nie, nie zamierzałam odsunąć szyby. Kiedy się zorientował, że tego nie zrobię, przeszedł na niewerbalny przekaz. Przeciągnął ręką od swojego lewego ramienia przez środek klatki piersiowej aż do prawego boku, sugerując zapięcie pasów. No tak. Musiałam się tego w końcu nauczyć. Przez najbliższe dwa lata stanę wzorem do naśladowania, jeśli chodzi o przestrzeganie przepisów ruchu drogowego.

Złapałam pas i zapięłam go. Patrzyłam przy tym Mocarzowi w oczy tak, żeby czuł, jak bardzo jestem na niego zła za to, że nie odpuścił. Teraz ja nie odpuszczę, miał to jak w banku. Chciałam być na niego zła, ale coś mi nie pozwalało. Nie, gdy patrzyłam w te oczy – poważne, zdystansowane, a jednocześnie skupione na mnie, jakby próbował zapamiętać każdy szczegół z naszego spotkania. Dziwne. Aż mnie przeszły ciarki.

Odjechałam, nie mogąc znieść tego wwiercającego się we mnie wzroku.

Amadeusz ruszył chwilę po mnie, ale szybko dogonił moją octavię. Nie zdecydował się na wyprzedzenie, tylko jechał cały czas za mną. Był już po służbie, nie zmieniało to jednak faktu, że wciąż czułam na ramieniu jego oddech. *Oż ty, podpuszczasz mnie* – myślałam, gdy zbliżył się niemal pod sam zderzak. Nie przyspieszę. Było czterdzieści – jechałam czterdzieści. W terenie zabudowanym wskazówka na prędkościomierzu nawet nie dotykała pięćdziesiątki. Co chwilę spoglądałam w lusterko wsteczne. Miałam wrażenie, że nieustannie na mnie patrzył. Nie wiedziałam, gdzie mieszka i ile czasu będzie mi siedział na ogonie.

Zjechałam na siedemdziesiątkę ósemkę i przyspieszyłam. Tutaj mogłam jechać siedemdziesiąt na godzinę. Mocarz cały czas był za mną, widziałam w lusterku jego twarz. Co sobie teraz o mnie myślał? Pewnie śmiał się z mojej jazdy, choć pozostawał poważny. Facet zagadka. Może miał jakieś uszkodzenia nerwu twarzowego i dlatego wyglądał jak posąg?

Każdą następną sekundę byłam w stanie odtworzyć z dokładnością do najdrobniejszego szczegółu. Wszystko działo się jakby w zwolnionym tempie, a jednocześnie bez szans na jakąkolwiek reakcję. Wjeżdżałam na wzniesienie. Znow zerknęłam w lusterko. To krótkie spojrzenie mnie zgubiło. Zaraz za górką na moim pasie stało auto czekające na możliwość skrętu w lewo po przepuszczeniu pojazdów z naprzeciwka. W ostatniej chwili szarpnęłam kierownicą, unikając zderzenia. Odbiłam w drugą stronę, żeby zapanować nad autem, które zaczęło tańczyć na drodze w niekontrolowany sposób. Nie uda mi się, za szybko jadę... Ostatnie spojrzenie przed siebie, na drzewa na poboczu. Były daleko, może się nie zabiję. Koła zahaczyły o pas zieleni, samochodem gwałtownie obróciło. Buch!, jedno uderzenie. Rzuciło mnie na wszystkie strony. Buch!, drugie uderzenie. Czułam, jak moja żuchwa łąduje na bocznych drzwiach. Posypało się szkło. Wytrzymaj jeszcze trochę. Szczęka się zagoi, tylko to przeżyj. Aż dziwne, że byłam w stanie to wszystko analizować w ciągu paru krótkich sekund. Buch!, kolejne uderzenie. Zdażyłam dostrzec, że auto uderza bokiem w ziemię, by w końcu wylądować na kołach w rowie.

Cisza.

Patrzyłam przed siebie i jednocześnie nie widziałam nic. Miałam wypadek. Chyba przeżyłam, ale nie bardzo rejestrowałam to, co się działo. Jakby świat się zatrzymał. Słyszałam,

że ktoś szarpie i otwiera drzwi. Słyszałam słowa, ale nie umiałam ich przetworzyć.

– Spokojnie, Róża, nie ruszaj się, pomogę ci.

Znowu cisza. Coś się działo. Miałam otwarte oczy, niby dostrzegałam jakieś ruchy, ale to wszystko jakby było poza mną.

– Róża, spójrz na mnie, słyszysz mnie? – Ktoś władował się do kabiny, żebym nie musiała odwracać do niego głowy. – Róża!

W końcu ocknęłam się z letargu. Amadeusz stał pochyłony obok auta, z głową wciśniętą do środka, i patrzył na moją twarz intensywnie.

– Słyszysz mnie? – zapytał ponownie, zobaczywszy, że udało mu się nawiązać kontakt wzrokowy. Pokiwałam głową. – Pomogę ci, nie ruszaj się na razie.

Podbiegli jacyś ludzie. Ktoś krzyknął do Mocarza, żeby otworzył maskę, ktoś inny wyciągnął akumulator. Przednia szyba została zmasakrowana. Zaczęłam się rozglądać. Moja stara skoda musiała być już po przejściach, bo nie wystrzeliła żadna poduszka. Powoli do mnie docierało, co się wydarzyło. Nabrałam nerwowo powietrza do płuc.

– Róża, tylko spokojnie. Spójrz na mnie i powiedz, czy coś cię boli. – Amadeusz położył dłonie na obydwu moich bokach i delikatnie sprawdził, czy żebra są całe. – Czujesz, że coś masz złamane, uszkodzone?

Próbowałam zebrać myśli. Nogi całe, ręce też, chyba żadnych urazów brzucha. Gdy otworzyłam usta, żeby coś powiedzieć, poczułam, że moja żuchwa nie działa tak, jak powinna. Dotknęłam policzka i ponownie spróbowałam otworzyć usta, ale poczułam opór.

– Chyba mam coś ze szczęką – wymamrotałam, nie poruszając zbyt mocno żuchwą.

Podbiegł do nas jakiś facet.

– Wezwać karetkę?

– Poczekaj – odezwał się Amadeusz. – Róża, posłuchaj. Spróbuj określić, czy uszkodzenie jest poważne.

Jeszcze raz ruszyłam żuchwą. Teraz było lepiej, ale miałam wrażenie, że zdrętwiał mi policzek. Powiedziałam o tym Amadeuszowi.

– Okej. Powiedz, czy mamy wzywać pogotowie. Jeśli przyjadą tu służby, dostaniesz mandat i stracisz prawo jazdy. Jeżeli to coś poważnego, bezpieczniej będzie poczekać na karetkę, bo prawo jazdy może być najmniejszym problemem. Mogę też sam zawieźć cię do szpitala, wtedy unikniemy policji. Jak się czujesz?

Momentalnie wytrzeźwiał mi umysł.

– Nawet mnie nie drasnęło – stwierdziłam już pewnie. – Sama wyjdę, nie muszę jechać do szpitala.

– Nie wzywaj karetki – odezwał się Mocarz do tamtego mężczyzny. – Mówi, że wszystko w porządku. Obejdziemy się bez służb.

Facet przytaknął. Dał znać następnym zatrzymującym się kierowcom, że sytuacja opanowana.

Próbowałam pokazać, że wszystko jest w porządku, i wysiąść z auta, ale coś mnie przystopowało.

– Co się dzieje? – Mocarz dostrzegł, że coś jest nie tak.

Spojrzałam w dół. Na fotelu leżało mnóstwo potłuczonego szkła, a ja miałam na sobie sukienkę i przy każdym najmniejszym ruchu czułam, jak kawałki wrzynały mi się w skórę ud.

– Mam szkło na siedzeniu. Kaleczy mi skórę.

Spojrzał tam, gdzie ja. Musiałam się tego pozbyć, zanim wysiądę. Wiedziałam, że sama go nie zgarnę. Złapałam materiał sukienki i przycisnęłam do krocza. Amadeusz ostrożnie włożył rękę między moje uda, a ja je delikatnie rozchyliłam. Zaczął powoli zsuwać szkło na dywanik. Robił to spokojnie,

wiedząc, że gwałtowne ruchy doprowadzą do skaleczeń. Jedną ręką złapał moją nogę i lekko ją podniósł, drugą ostrożnie usuwał fragmenty, które przykleiły się do skóry. Czułam jego ciepłe palce, w tym dotyku nie było jednak nic erotycznego. Czułam jego spokój, to, jak usiłował się mną zaopiekować.

– Spróbujmy teraz – powiedział, gdy na siedzeniu panował już względny porządek. Podał mi rękę, drugą wsunął za moje plecy i podtrzymał mnie z boku. Pomógł mi wygramolić się na zewnątrz. Stanęłam na miękkich nogach. – Kręci ci się w głowie?

– Trochę, ale ustoję.

– Chodź. Usiądziesz w moim aucie.

Poprowadził mnie do swojego audi A6 i pomógł usiąść na miejscu pasażera.

– Poczekaj tu. Ogarnę lawetę. Zostawiam ci otwarte drzwi. Gdyby coś się działo, zawołaj.

Przytaknęłam, a on odszedł porozmawiać z dwoma mężczyznami, którzy byli świadkami i starali się pomóc. Chyba wymieniali się numerami telefonów. Chwilę pogadali i skierowali się do swoich pojazdów. Amadeusz do kogoś dzwonił i jednocześnie zaglądał do mojego auta. Znalazł telefon i torebkę, która wylądowała w bagażniku. Przyniósł mi je i poinformował, że zaraz przyjedzie jego tata. Miał lawetę, którą zabiorą stąd mój samochód.

Był cały czas przy mnie, co chwilę się upewniał, że wszystko w porządku i mój stan się nie pogarsza. Na szczęście poza tym, że miałam zdrętwiałą lewą połowę twarzy, czułam się okej. Powiedziałam, że wizyta u lekarza jest zbędna, ale on stanowczo stwierdził, że muszę jechać do szpitala się zbadać.

Gdy dotarł jego tata, umieścił wspólnie z synem moją skodę na lawecie, zabezpieczył ją i odjechał. Amadeusz wsiadł

na miejsce kierowcy i niedługo później także ruszyliśmy. Moje ciało zaczęło się dziwnie zachowywać. Najpierw zaczęły mi się trząść ręce, a po chwili telepałam się cała. Nie mogłam nad tym zapanować. Amadeusz na mnie spojrział.

– Puszczaj adrenalinę, dlatego się trzęsiesz – wyjaśnił. – Za chwilę możesz zacząć odczuwać ból. Spokojnie. – Złapał moją rękę, żeby dodać mi otuchy. Ścisnęłam jego dłoń, żeby zminimalizować drżenie ciała. Też zacisnął palce na moich.

Jechaliśmy dalej, cały czas się trzymając. Spoglądałam na niego. Był skupiony na drodze. Emocje zaczęły brać górę, nie byłam w stanie nad nimi panować. Próbowалаm powstrzymać łkanie. Ukradkiem wytarłam spływające po policzkach łzy. Nie chciałam, żeby Amadeusz je widział, a jednocześnie wiedziałam, że ich nie ukryję.

– Zaraz będziemy w szpitalu – powiedział, nie patrząc na mnie, jakby wyczuł, że tego nie chcę.

Na oddziale ratunkowym kazał mi usiąść w poczekalni, a sam podszedł do okienka z moimi dokumentami. Wy tłumaczył, że miałam wypadek, że na początku wszystko było w porządku, ale teraz poczułam się gorzej. Przyjęli mnie na salę obserwacyjną. Lekarze ustalili, że trzeba zrobić tomografię i prześwietlenie szczęki. Wykonali po kolei wszystkie konieczne badania.

Po półgodzinnym oczekiwaniu, w trakcie którego leżałam na łóżku i ukradkiem wyciągałam z ud kawałki szkła, w końcu podszedł do nas lekarz.

– Pani Rózo, wszystko wskazuje na to, że miała pani dużo szczęścia. Tomografia i rentgen nie wykazały żadnych uszkodzeń.

– To dlaczego czuję, jakbym miała sparaliżowany policzek?

– Cały czas utrzymuje się ten stan?

– Tak.

Mężczyzna wyciągnął z kieszeni fartucha małą latarkę.

– Proszę otworzyć usta.

Wykonałam polecenie, a on zajrzał do środka.

– Ma pani przygryziony język, ale uszkodzone są tylko powierzchowne tkanki. Myślę, że za kilka dni wszystko wróci do normy. Podczas dachowania mózg jest narażony na duże obciążenia. Na pewno odczuje to pani w najbliższych dniach. Przepiszę silne środki na ból głowy. Lepiej, żeby przez parę kolejnych dni nie zostawała pani sama, na wypadek gdyby doszło do pogorszenia stanu zdrowia. Czy potrzebuje pani zwolnienia lekarskiego? Odradzam pracę przez najbliższy tydzień.

– Nie, nie potrzebuję zwolnienia. Mam swoją działalność.

– Rozumiem. W razie niepokojących objawów lub silnego bólu proszę się zgłosić do swojej przychodni. Zrobię wypis i może pani iść do domu.

Boże, przeżyłam wypadek samochodowy... Powoli to do mnie docierało. Amadeusz wspominał, że zatrzymałam się dwa metry od drzewa. A wydawało się, że były tak daleko.

Odebraliśmy dokumenty, wstąpiliśmy do szpitalnej apteki, żeby zrealizować receptę, i pojechaliśmy do mojego domu. Zjechałam na siedzeniu tyłkiem jak najniżej, żeby nie dotykać udami fotela. Wciąż czułam szkło pod skórą.

Zatrzymaliśmy się pod blokiem.

– Bardzo dziękuję za pomoc – powiedziałam szczerze.

– Każdy zrobiłby to samo na moim miejscu. Mam nadzieję, że szybko dojdiesz do siebie. Ktoś będzie teraz z tobą?

Zmarszczyłam brwi. No tak, lekarz zalecał, żeby ktoś mi teraz stale towarzyszył.

– Poradzę sobie. Jeszcze raz dziękuję – rzuciłam i wysiadłam.

– Odprowadzę cię.

Amadeusz też wyszedł. Patrzyłam na niego przez chwilę. Chciał mnie bezpiecznie odtransportować do samych drzwi mieszkania. Kiepsko by wyszło, gdyby mnie teraz zostawił, a ja bym zemdląła w windzie.

– Okej.

Rozumiałam jego troskę, choć było to takie obce zjawisko. Przez czternaście lat związku Marcin nigdy nie dbał o mnie tak bardzo.

Wjechaliśmy windą na trzecie piętro. Weszłam do mieszkania z nadzieją, że Amadeusz sobie pójdzie, ale on podążył za mną. Nie wiedziałam, o co mu chodzi. Chciał dostać herbatę?

Rozejrzał się po wnętrzu.

– Mieszkasz sama?

– Tak.

– Nikogo tu nie ma.

– Zdziwiłabym się, gdyby było inaczej.

– Nie powinnaś być teraz sama.

– Nic mi nie będzie. Lekarz mówił, że wszystko jest w porządku. Już nawet nie czuję tego mrowienia na twarzy.

– Nie możesz zostać sama. Za dużo razy słyszałem o przypadkach pogorszenia się stanu zdrowia nie bezpośrednio po wypadku.

– Dobrze. Zadzwonię po przyjaciółkę.

Stał dalej i jakby czekał. Ja też czekałam, aż sobie pójdzie, ale wyraźnie się do tego nie kwapił.

– Cóż. Chyba już czas na ciebie.

Wymusił uśmiech.

– Poczekam, aż przyjedzie twoja przyjaciółka.

No co za uparciuch!

Wyciągnęłam z torebki telefon i wybrałam numer Klaudii.

– Wejdz – powiedziałam, przykładając aparat do ucha.

– No cześć, piękna. – Przyjaciółka odebrała po pierwszym sygnale. – Jak tam, trafiła cię już ta strzała Amora? Miałam dziwne przeczucie, że sieknie cię wyjątkowo szybko.

– Ale z ciebie optymistka. – Spojrzałam na Amadeusza i niespostrzeżenie zmniejszyłam głośność w telefonie. – Możesz do mnie wpaść? Mam mały problem.

– Przecież jestem jeszcze u mamy.

No tak. Wyjechała z mężem i małym do rodziców, pod Łódź. Raczej nie da rady dzisiaj wpaść.

– Racja, zapomniałam. Nie było tematu.

– Wszystko w porządku? Marcin cię nachodzi?

– Nie, wszystko gra. Tylko zupełnie zapomniałam, że cię nie ma. Kiedy wracasz?

– Wyjeżdżamy jutro rano. Wpadnę na kawę, jak wrócę.

– Dobra, to nie przeszkadzam. Widzimy się jutro. Pa.

– Pa.

Odłożyłam telefon i podniosłam wzrok. Amadeusz hardo się we mnie wpatrywał.

– Czyli przyjaciółka odpada – skomentował.

– Zapomniałam, że wyjechała do rodziców.

– Rodzice? – próbował mi podsunąć pomysł, kto jeszcze może przyjechać. Kiepsko trafił.

– No cóż. Jak by to powiedzieć... Myślę, że gdybym do nich zadzwoniła, rzuciliby wszystko i przyjechali, ale...

– Ale?

– Ale biorąc pod uwagę fakt, że są na wycieczce objazdowej po Europie swoim camperem, szacuję, że mogliby tu być za jakieś... dwa, trzy dni.

Mama i tata to hipisi z piekła rodem. Kochali życie z dala od cywilizacji. Urodziłam się, gdy mieli po dwadzieścia lat.

Byli dobrymi rodzicami, ale zawsze czułam, że ich uziemiłam. Czasem się dziwiłam, jak wytrzymali osiemnaście lat we względnie jednym miejscu. Gdy tylko kończył się rok szkolny, wsiadaliśmy do auta, przypinaliśmy przyczepę campingową i ruszaliśmy w świat. Tata był fotografem. Robił świetne zdjęcia. Dawali radę się z tego utrzymać, nawet będąc cały czas w drodze. Gdy wyprowadziłam się na studia, sprzedali mieszkanie, przekazali mi część pieniędzy, a za resztę kupili campera. Od tamtej pory widuję ich raz, maksymalnie dwa razy w roku. Obecnie są gdzieś w okolicach Gruzji.

– Rodzeństwo?

Pokręciłam głową.

– Partner?

– Nie.

– Kuzynka?

Zaczęłam się irytować.

– Posłuchaj. Bardzo ci dziękuję za pomoc i za to, że ogarnęłaś wszystko bez wzywania policji, ale teraz możesz już iść. Poradzę sobie. Jestem dużą dziewczynką i nie potrzebuję niańki. Gdyby coś się działo, po prostu zgłoszę się do lekarza. Mieszkam trzysta metrów od szpitala. Dam. Sobie. Radę.

Może brzmiałam nieco impertynencko, ale chciałam, żeby już poszedł. Źle mi z tym, że nie miałam tu nikogo, do kogo mogłabym zadzwonić z prośbą o pomoc.

Amadeusz wciąż stał w tym samym miejscu. No co za cielak. Uparty jak krowa, która nie chce ustąpić. Patrzyłam na niego wyczekująco i zezwalałam w kierunku drzwi, żeby się domyślił, że wskazuję mu drogę, którą ma podążyć. Spojrzałam na podłogę, jakbym szukała czegoś dziwnego. Super glue mi się tu wylało czy jaka cholera?

W końcu drgnął. Zwyczajnie przysnął sobie biedak. Nie dziwię się mu. Tyle emocji na jeden dzień. Sięgnął do pasa taktycznego, ściągnął go razem z bronią i odłożył na stół.

– W takim razie ja tu zostanę.

– Słucham? – Nie wierzyłam własnym uszom.

– Zostanę.

– To moje mieszkanie i nie bardzo mam ochotę, żebyś w nim przebywał.

– Powiedzmy, że to mój społeczny obowiązek.

– Mam gdzieś twój obowiązek. Chcę, żebyś sobie poszedł.

– Nigdzie się nie wybieram.

– Posłuchaj. Jeżeli stąd nie wyjdiesz, wezwę...

– Co wezwiesz? – przerwał mi w pół zdania. – Policję? Podyktować ci numer do komendanta? W sumie to dobry pomysł. Za taką postawę może dostanę premię.

Żartownis się znalazł. Widziałam jego pewną postawę. Nie ustąpi. Mówiły to całe jego ciało i spojrzenie. Nic nie wskóram wyklócaniem się. Zaczynała mnie boleć głowa i chciałam się już położyć. Może spróbuję po dobroci.

– Amadeusz. – Pierwszy raz wymówiłam to imię. Okoliczności wymusiły przejście na ty. – Rozumiem twoją troskę, ale to nie jest najlepszy pomysł. Nie będę się czuła komfortowo, zostając na noc ze swoim potencjalnym klientem. – Boże, jak to zabrzmiało... – Mam robić z tobą dekorację dla ciebie i twojej przyszłej żony. To jest po prostu nie... – Szukałam w głowie odpowiedniego słowa. – Nieetyczne?

– Posłuchaj. Sytuacja jest faktycznie niecodzienna. Służę w policji od piętnastu lat i jeszcze nie nocowałam u żadnego z obywateli, z którymi miałem do czynienia.

Uuu, zaleciało PRL-em. No dobrze, pozwolę mu kontynuować ten wywód.

– Nie twierdzę, że ja czuję się komfortowo, ale tak trzeba. Mam szczerą nadzieję, że gdy obudzimy się rano, wszystko będzie w porządku, ale gdyby czysto hipotetycznie coś ci się stało, zżerałoby mnie sumienie.

Mogłam oponować dalej, ale w sumie trafił z argumentem. Łeb mnie napierniczał, jakby ktoś wsadził mi do niego dzwoni Zygmunta i zaczął tam w niego naparzać. Samopoczucie oceniłabym na znacznie poniżej średniej.

– Poza tym jeszcze nie wiadomo, czy zostanę twoim klientem. – Przy ostatnim słowie poruszył brwiami, dając znać, że zrozumiał moją wypowiedź tak, jak nie powinien. – Dowalałaś taką cenę, że sama rodzina królewska by się zastanowiła, czy to nie przesada. Nina na razie o niczym nie wie i niech tak zostanie. Ma dzisiaj nocować u przyjaciółki, która jest w dziewiątym miesiącu ciąży i której mąż wyjechał w trasę.

Koniec. Czas na werdykt. Po przeanalizowaniu wszystkich dowodów wysoki sąd orzeka, że... No kurde, miał facet rację. I co teraz?

Opuściłam zrezygnowana ramiona.

– Dobrze, niech ci będzie. To małe mieszkanie. Możesz przenocować w salonie. Kanapa co prawda nie jest zbyt wygodna, ale...

– Wystarczy mi. Nie potrzebuję królewskiego łóżka.

– Tak... jasne. Chcesz coś zjeść? Pewnie jesteś głodny.

Kiwnął głową, sugerując, że coś by przekąsił, ale głupio mu powiedzieć wprost.

– Mam gołąbki w sosie grzybowym. Podgrzeję.

Przeszłam do aneksu kuchennego, wyciągnęłam z lodówki naczynie żaroodporne, włożyłam do piekarnika i go włączyłam.

Postawiłam rondel z sosem na kuchence i ustawiłam minimalne grzanie.

– Muszę wziąć prysznic – powiedziałam, wracając do Amadeusza. – Zdążę, zanim się zrobią. Idź do salonu i włącz sobie telewizor. Wrócę za chwilę.

– Jasne. – Usiadł posłusznie na kanapie i włączył odbiornik.

Zniknęłam w sypialni, żeby przygotować ubrania. Głupio mi było teraz zamknąć się w łazience, ale gryzło mnie całe ciało. Miałam ślady krwi na nadgarstku i w kilku innych miejscach. Musiałam to wszystko z siebie zmyć.

Wygrzebałam bawełniane spodenki i koszulkę do kompletu. Wyciągnęłam z dna szafy gruby frotowy szlafrok. Nie zamierzałam paradować w kusym kompleciku. Poszłam do łazienki. Szybko zmyłam pod prysznicem troski minionego dnia. Amadeusz na pewno też chciał skorzystać z łazienki, więc nie zwlekałam. Ubrałam się i rozczesałam włosy. Starłam wacikiem resztki makijażu, który rozmazał się trochę przez łzy, i wyszłam. Mocarz stał przy kuchence i mieszał sos. Patrzyłam na niego przez moment. Nie zauważył mnie. Był wysoki, urodę miał powyżej przeciętnej, a pewna postawa i mundur dodawały mu uroku. A w kuchni, przy moich garnkach, to już w ogóle wyglądał bosko. Potrząsnęłam głową, żeby pozbyć się głupich myśli. Przecież miał już prawie żonę.

– Jestem. Jeżeli chcesz też skorzystać z łazienki, zostawiłam ci ręczniki. Nie mam niestety nic na przebranie – mówiłam, wskazując na jego mundur.

– Skoczę do auta. Mam tam torbę z ciuchami. Po pracy i wizycie w dworku chciałem skoczyć na siłownię.

– I zostawisz mnie tu samą? – Udałam zdziwienie. – To nie jest postawa obywatelska – droczyłam się.

– Zaraz wracam. – Nie zareagował na moje zaczepki. Po prostu wyszedł.

Wyciągnęłam z piekarnika danie i wyłożyłam je na talerze. Sama zglodniałam. Musiałam zjeść, zanim wezmę leki, inaczej żołądek boleśnie da o sobie znać. Amadeusz wrócił niedługo później i usiedliśmy do stołu.

Kiedy moje uda dotknęły siedziska krzesła, przypomniałam sobie Klaudię z pierwszych dni po porodzie. Siadała wtedy w podobny sposób, żeby nie zadawać sobie bólu. Teraz robiłam to samo: niby siedziałam na tyłku, a tak naprawdę na bocznej części uda. Kręciłam się przy tym, jakby mnie zaatakowało stado owsików.

– Smacznego – powiedziałam i sięgnęłam po sztucce.

– Wzajemnie.

Zaczęliśmy jeść.

– O cholera, ale to pyszne – pochwalił, przyzymkając oczy.

Zrobiło mi się przyjemnie. Marcin nie lubił mojej kuchni. Twierdził, że funduję mu za dużo tłuszczu i węglowodanów. Lubię tradycyjne, polskie potrawy, dlatego taki komplement to dla mnie miła odmiana.

– Dziękuję. Trafieś na jedno z moich popisowych dań.

– W takim razie chcę spróbować innych.

Nie wiedziałam, jak to odebrać. Raczej nie będzie nam już dane spotkać się w podobnych okolicznościach.

– To najlepsze gołąbki, jakie jadłem.

– Dobra, jedz już i przestań mówić, bo zacznę się czerwienić.

– Widziałem już twoje rumieńce w pełnej krasie. Pewnie szybko tego nie pobijesz.

– Kiedy widziałeś?

– Kiedy podczas kontroli powiedziałaś, że może się dogadamy, i dotarło do ciebie, jak to zabrzmiało.

O fuck. Teraz już pewnie wyglądałam jak siostra cioteczna buraka ćwikłowego.

– No dobra, udało ci się jednak pobić tamten wynik.

Jawnie się ze mnie nabijał!

– Znam możliwości swoich policzków – bąknęłam. – Proszę cię, nie pogarszaj sprawy.

Uśmiechnąłem się i wróciłem do jedzenia. Przez chwilę się nie odzywaliśmy. Ja musiałam ochłonąć, a on mi na to pozwalał. Atmosfera uległa jednak zmianie. Nie wiedziałam, jak nazwać to, co między nami zawisło. Jakby w powietrzu unosił się magiczny pył, którego nie możesz dostrzec. Co to było? Czuję się swobodnie, a jednocześnie moje mięśnie pozostawały w połowie napięte, bo gdybym je rozluźniła, nie poradziłabym sobie z emocjami. Nie potrafiłam zrozumieć, co je wywołało.

Skończyliśmy kolację. Wstałam, żeby zebrać naczynia i wstawić je do zmywarki, ale Amadeusz mnie ubiegł.

– Ja to zrobię. Weź leki i się połóż. Lepiej, żeby zaczęły działać, zanim ból głowy rozkręci się na dobre.

Stałam jak wryta. Gdy mieszkałam z Marcinem, w domu musiał być porządek. Mój eks to pedant, ale nigdy nie sprzątał po mnie. Zawsze zostawiał po sobie lśniącą czystość i wymagał ode mnie tego samego. Nawet gdy byłam chora i nie miałam siły, musiałam zapakować zmywarke, ogarnąć blat i puścić odkurzacz, żeby usunąć potencjalne okruchy. Teraz miałam tylko zmiotkę, bo robota Marcin zabrał ze sobą. Mógłby zapomnieć służbowego laptopa, ale nie swoją najlepszą przyjaciółkę, czytaj: inteligentną miotłę.

Zrobiło mi się głupio. Nie czułam się komfortowo z tym, że mój gość, który został, żeby zapewnić mi bezpieczeństwo, musiał jeszcze ogarnąć kuchnię. Chyba dostrzegł moje zakłopotanie, bo powiedział:

– Hej. To tylko naczynia. Nie pobrudzę sobie rączek. A jeśli pobrudzę, to umyję. Weź leki.

Wyciągnął opakowanie z jednorazówki, sprawdził na receptce dawkowanie i wycisnął z blistra tabletki na wnętrze mojej dłoni.

Musiałam jak najszybciej opuścić aneks kuchenny. Spotkałam mężczyznę idealnego. Pragnęłam czym prędzej pozbyć się tych wszystkich myśli, które zaczynały mi się rodzić w głowie. Rodzice dbali o mnie w specyficzny sposób. Uczyli, jak przetrwać w trudnych warunkach, odpowiednio opatrzyć ranę i starać się w tym czasie nie histeryzować. Wtedy jednak nie czułam tego co teraz – troski. Z Marcinem nigdy nawet nie zbliżyłam się do tego stanu. Klaudia pokazała mi, co to znaczy o kogoś dbać, ale teraz dostałam kulą prosto w serce.

Połknęłam tabletki, poszłam do łazienki, żeby umyć zęby, a potem szybko zniknęłam w sypialni. Wcisnęłam się pod kołdrę, usiłując sobie poradzić z tym, co działo się w mojej głowie. Niech on zrobi coś, co sprawi, że nigdy już nie spojrzę na niego tak samo. Niech zacznie gadać przez sen i wzdychać, wypowiadając jakieś męskie imię, niemiłosiernie głośno chrapać, niech zostawi brudne skarpetki na środku salonu lub zrobi cokolwiek innego, żeby zburzyć ten idealny obraz.

Copyright ©2023 by Nathalie K. Flower

ISBN: 978-83-67822-03-9

Wydanie pierwsze, Miechów 2023

Redakcja: Paulina Zyszczyk – Zyszczyk.pl

Korekta: Kinga Dąbrowicz – Zyszczyk.pl

Skład i łamanie: Andrzej Zyszczyk – Zyszczyk.pl

Projekt okładki: Magdalena Batko – Tak się składa (FB: @skladasie)

Zdjęcie autorki: Jakub Gołąb

E-mail: nathalie@flower.hub.pl.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Książka ani jej części nie mogą być przedrukowywane ani w żaden inny sposób reprodukowane lub odczytywane w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody autora.

Wszystkie zdarzenia, imiona i nazwy niektórych firm są fikcyjne, a ich zbieżność z istniejącymi – przypadkowa.